

W przeciwieństwie do sportowców czy tancerzy, których kariery nieodwołalnie kończą się niedługo po trzydziestce, muzycy mogą pozostać w zawodzie znacznie dłużej. Jednak tylko wówczas, gdy będą o siebie dbali. Życie muzyka to naprawdę nie bajka.

# Muzyk – zawód wysokiego ryzyka

Maciej Łukasz Gołębiowski

**P**erfekcyjne opanowanie instrumentu to trudna sztuka. Mówi się, że swoboda cechuje mistrzów, a żeby się nim stać, trzeba sprawić, by kawał drewna czy wygiętej blachy stał się przedłużeniem naszego ciała. W tym celu muzycy to ciało trenują. Rozwijają grupy mięśni, które zwykłym ludziom rzadko się przydają. Pracują nad koordynacją, precyzją ruchu, szybkością i sprawnością. Robią to wszystko, by stopniowo mierzyć się z coraz trudniejszymi i dłuższymi utworami, podobnie jak biegacze zwiększają dystans, skoczkowie wysokość poprzeczki, a oszczepnicy długość rzutu. Muzyków czekają w zawodowym życiu mordercze wyzwania. W słynnym „Bolerze” Ravela jednostajny rytm wybijany na werblu wymaga od perkusisty ogromnego skupienia i dokładności, począwszy od najcichszych taktów wstępu po potężną kulminację. W 14-minutowym utworze pałeczki uderzają w membranę 5144 razy! V symfonia Mahlera w samych partiach wiolonczel zawiera 940 taktów zapisanych ósemkami. Skrzypce mają ich jeszcze więcej. W czwartej części utworu daje to w sumie aż 6400 ruchów lewej ręki. W poemacie symfonicznym „Oceanidy” Sibeliusa partia smyczków wymaga 589 ruchów smyczkiem w zaledwie 22 taktach. „Taniec ziemi” ze „Święta wiosny” Strawińskiego to natomiast 360 nut, które orkiestra musi zagrać w około 36 sekund.

Przykłady można mnożyć. Mimo to zdarzały się w historii klasycznego wykonawstwa spektakularnie długie kariery muzyków orkiestrowych. Zmarły niedawno Bud Herseth, uznawany za najlepszego symfonicznego trębacza świata, siedział przy pierwszym pulpicie Chicago Symphony Orchestra przez 53 lata. Koncertmistrz Boston Symphony, Joseph Silverstein, sprawował swoją funkcję 22 lata. Richard Horowitz grał na kotłach w Met przez 66 lat, a Artur Rubinstejn występował jeszcze publicznie jako 90-latek. Wszyscy oni mieli jednak wspólną cechę – zaczęli kariery w starych, łaska-



Nora Shulman.

wych czasach. Orkiestry pracowały wtedy od sezonu do sezonu, a między koncertami podróżowało się koleją bądź statkiem. To dawało czas na odpoczynek, rekonwalescencję i relaks. Dziś te same orkiestry pracują bez przerwy. W sezonie przynajmniej raz w tygodniu grają koncerty dla własnej publiczności, latają na tournée po całym świecie, występując codziennie w innym kraju, a w wakacje organizują letnie festiwale. Do tego trzeba znaleźć czas na nagrywanie płyt i dodatkowe zlecenia organizowane przez kierownictwo. Nic dziwnego, że urazy wśród muzyków są dziś znacznie częstsze niż kiedyś. Co gorsza, napięty grafik, własna ambicja i chęć zapewnienia bytu rodzinie sprawiają, że często mimo bólu grają dalej. Czasem z fatalnym skutkiem dla własnej kariery i zdrowia.

Przykładem bagatelizowania urazu jest historia Nory Shulman, flicistki grającej w Toronto Symphony Orchestra. W 1987 roku w czasie jednej z sesji nagranych prezentowała ona koledze z sąsiedniego pulpitu fragment rejestrowanego utworu. W nie do końca wiadomy sposób nadwreżyła so-



Bud Herseth  
– legenda  
Chicago Symphony  
Orchestra, pierwszy trębacz  
przez 53 lata.



Pierwsza strona  
„Bolero” Ravela – koszmaru  
każdego perkusisty.

bie przy tym trzeci i czwarty palec lewej ręki. Poczula ból, ale nie na tyle silny, by nie móc dokończyć sesji. Mijały kolejne tygodnie, a ręka nadal bolała. Jak dziś wspomina artystka, niewiele wtedy wiedziała o medycynie, a tym bardziej o chorobach mogących dotknąć muzyka. Leczyła się kilka miesięcy, chodząc na akupunkturę, która złagodziła ból, ale nie wyeliminowała schorzenia.

Dopiero po roku Shulman zdecydowała się pójść do specjalistycznej kliniki dla muzyków w Hamilton. Tam stwierdzono naderwanie więzadeł między palcem środkowym i serdecznym. Lekarz zalecił umieszczenie palców w szynach, a następnie rehabilitację i dużo odpoczynku. Jednak będąc u progu kariery, flecistka nie chciała słyszeć o odłożeniu instrumentu i rezygnacji z koncertów. Grała dalej, ale niezbyt długo. Stan ręki pogorszył się latem 1988 roku i wtedy wszystkie zalecenia lekarza Shulman grzecznie wcieliła w życie. Całe lato tego roku odpoczywała, a potem stopnio-

**Peter Oundjian  
szczęśliwy w nowej roli.**



**Strona internetowa specjalistycznej kliniki dla muzyków w Nowym Orleanie.**

wo wracała do formy, zaczynając od ledwie pięciu minut ćwiczeń dziennie. Na szczęście, na efekty nie trzeba było długo czekać. W ciągu sześciu tygodni rehabilitacja znacznie usprawniła rękę i pozwoliła Shulman we wrześniu wrócić na estradę. Pech jej jednak nie opuszczał. W marcu 2007 poślizgnęła się na lodzie i złamała lewy nadgarstek. Tym razem natychmiast poddała się leczeniu. Gips przez cztery tygodnie, potem usztywniacz i rehabilitacja z fizjoterapeutą sprawiły, że cała historia trwała zaledwie nieco ponad dwa miesiące. 26 maja Nora zagrała swój pierw-

szy koncert po wypadku, „Divertimento na flet i smyczki” Johna Weinzweiga. Dziś jest w pełni formy, ale rozumie, jak bardzo trzeba uważać i niczego nie bagatelizować.

Nieco mniej szczęścia miał znakomity skrzypek, Peter Oundjian, niegdyś student Itzhaka Perlmana w Juilliard School. Po 14 latach grania pierwszych skrzypiec w Tokio String Quartet stracił pełną kontrolę w dwóch palcach lewej ręki. Zaczęło się niewinnie: od bólu barku. Potem przyszły poważniejsze objawy, które skłoniły artystę do wizyty u specjalisty. Tam, w 1994 roku, pierwszy raz usłyszał nazwę swojej choroby – dystonia, czyli występowanie ruchów mimowolnych, powodujących skręcanie i wyginanie różnych części ciała. Na to schorzenie cierpiało dwóch znakomitych pianistów – Leon Fleischer i Gary Graffman. Obu choroba zmusiła do rezygnacji z repertuaru pisanego na dwie ręce. Oundjian nie miał nawet takiego wyboru. Jego stan nie pozwalał grać

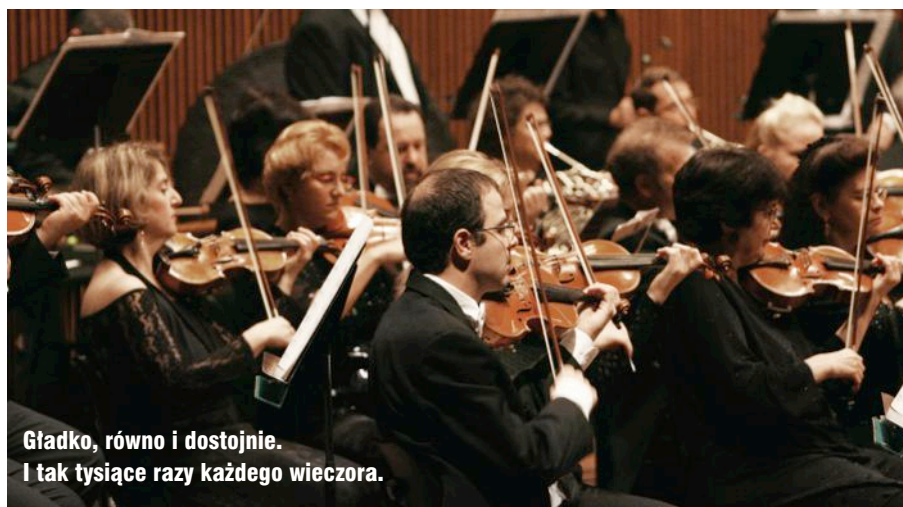
ani kameralistyki, ani tym bardziej recitali. Na szczęście już jako młody chłopak interesował się dyrygenturą, a w czasie studiów w Nowym Jorku pomagał nawet Herbertowi von Karajanowi. Rozwiązanie przyszło więc samo. Dziś Oundjian jest cenionym dyrygentem, a dla swoich kolegów, których dopadła choroba, ma jedną ważną radę: „Nauczyć się akceptować to, co nieunik-



**Altówka Pellegrina  
– może instrument przyszłości?**

nione i umieć się dostosować. Nie popadać w histerię i nie bać się. Psychikę wyleczyć dużo trudniej niż ciało”.

Każda profesja ma swoje choroby zawodowe, a muzycy nie są tutaj wyjątkiem. Warto o tym pamiętać, gdy kolejny raz będziemy ich słuchać i oglądać, a tym bardziej wtedy, gdy coś im nie wyjdzie idealnie. Sztuka muzyczna wymaga prawdziwego poświęcenia, które – choć daje satysfakcję – niesie też z sobą ryzyko. Można je zmniejszać, stosując rehabilitację, dostosowując miejsce pracy muzyka, a nawet budując specjalne, anatomicznie dopasowane instrumenty. Być może nadejdą czasy, gdy altówki przestaną przypominać te znane z dzisiejszych orkiestr, kotłiści dostaną nowe pałki, a fleciści – przebudowane flety. Wtedy kariery mają szansę trwać jeszcze dłużej. Dla dobra sztuki i nas – melomanów. □



**Gładko, równo i dostojnie.  
I tak tysiące razy każdego wieczora.**